

ŻYCIORYS

Urodziłem się 20 stycznia 1926 roku w Piotrkowie Trybunalskim. Ojciec – pracownik umysłowy (na przełomie lat 20.-30. pełnił przez rok obowiązki prezydenta miasta), matka zmarła w rok po moim urodzeniu. W latach 1931-33 pozostawał bez pracy i przeniósł się ze mną do rodziny na wieś, do Rudy Opalin, w powiecie chełmskim. Druga jego żona, Alicja z Masłowskich, wraz z młodszym moim bratem przyrodnim zamieszkała u swego brata w Brześciu. Zginął on w 1940 roku w Katyniu jako oficer w randze kapitana (majora?).

W 1933 roku ojciec uzyskał pracę w Grodnie, gdzie zabrał mnie rok później do siebie. Tam ukończyłem szkołę powszechną i w 1939 roku dostałem się do Państwowego Gimnazjum im. A. Mickiewicza. Wrzesień 1939 r. był okresem bardzo dramatycznym, tak dla ojca, którego wraz z całą instytucją – Ubezpieczalnią Społeczną – ewakuowano do miejscowości Głębokie nad granicą z Łotwą, jak i dla mnie, kiedy to Żydzi 18 i 19 września strzelali z rkm do mieszkańców domu pp. Siemińskich, u których mieszkaliśmy.

20 września razem z Haliną Siemińską pobiegliśmy „witać” czołgi sowieckie, które w ilości 10-11 wjeżdżały ul. Lipową od szosy Bialegostoku, jako kolumna zwiadowcza, na most nad Niemnem, do śródmieścia. Byliśmy dosłownie pierwszymi, wraz z uczniami szkoły im. Żeromskiego przy tej ulicy, do których sowieci otworzyli ogień z karabinów maszynowych. W kilkanaście minut potem, w jeden z tych czołgów, już w śródmieściu, rzucał granatem brat Halinki – Janek (późniejszy autor książek: „Grodno walczące” i „Przyszliśmy, żeby was wyzwolić”). Cudem uniknęliśmy śmierci. W 2-3 godziny później, Janek jako dowódca patrolu zwiadowczego był już u nas po benzynę.

23 grudnia 1939 roku uciekliśmy w obawie przed aresztowaniem przez NKWD do matki ojca w Rudzie (pow. chełmski), gdzie przedtem spędzałem dzieciństwo. Podróż w okresie bardzo srogiej zimy przez granicę w rejonie Małkini była bardzo długa i niezwykle dramatyczna. Schwytano nas i uwięziono w folwarcznej stodole. Udało nam się jednak dotrzeć do celu naszej podróży, 5 stycznia 1940 roku, ku ogromnej radości rodziny.

Wiosną 1940 r. ojciec rozpoczął swoją działalność konspiracyjną, a potem nawiązał kontakt z O.Z.O.P. (Organizacja Zbrojna Obrońców Polski) w Chełmie, w której biuletynach drukował swoje patriotyczne wiersze i artykuły. Ja pełniłem funkcję łącznika, a w latach 1942-44 tworzyłem Organizację Młodych w Szarych Szeregach. Po wyspie i aresztowaniach przez gestapo prawie wszystkich przywódców O.Z.O.P. i udanej ucieczce przed gestapowcami Piotra Jankowskiego z Rudy-Huty w dniu 1 września 1942 r., musieliśmy przez kilka miesięcy ukrywać się. Wtedy właśnie powstał Oddział Leśny pod dowództwem Piotra Jankowskiego ps. „Jeleń” („Feluś”). Oddział ten działał samodzielnie do maja 1944 r., a potem wcielony został do OP71 dowodzonego przez kpt. Z. Szumowskiego (w 2006 r. mianowany przez Lecha Kaczyńskiego generałem).

W latach tych odbywałem przeszkolenie wojskowe, byłem łącznikiem pomiędzy „Jeleniem” a delegatem rządu londyńskiego, M. Trendotą, ps. „Pasek”, moim ojcem i dowódcami niektórych placówek. Brałem także udział w niektórych akcjach. Wiosną 1944 r. przekazałem do oddziału „Jelenia” trzech moich chłopców z Szarych Szeregów: Bronisława Kochonia ps. „Szczygieł”, Henryka Bieleckiego ps. „Żbik” i Henryka Orchowskiego ps. „Wąż”. Wzięli oni potem udział w walkach z Niemcami pod dowódcą kpt. Z. Szumowskiego, ps. „Przebój”. Między innymi, odnieśli wspaniałe zwycięstwo w starciu ze stuosobową kompanią Wehrmachtu pod Czólnem. Opis tej bitwy autorstwa H. Bieleckiego ps. „Żbik” przekazałem p. naczelnikowi Wydziału Archiwizacji IPN w Lublinie, L. Popkowi. Fragmenty zamieściłem w publikacji poświęconej generałowi Z. Szumowskiemu w „Słowie Chełma” nr 17, z 21 marca 1991 r. Niestety nazwiska moich bohaterskich chłopców nie znalazły się na liście książki Szumowskiego pt. „Zapiski żołnierskie”.

W połowie sierpnia 1944 roku biorę udział z pozostałymi moimi chłopcami z Szarych Szeregów, zgodnie z rozkazem gen. Bora, w odsieczy Powstaniu Warszawskiemu. Niestety, zanim dotarliśmy do zgrupowania 27 Dywizji AK, dowiedzieliśmy się w punkcie koncentracji w Małkowie, że została ona rozbrojona przez Sowietów. Musieliśmy wracać do domów i znowu ukrywać broń, także tą zdobyczną w bitwie pod Czólnem przez tych chłopców, którzy w międzyczasie wrócili także do domów, w bunkrze mojego ojca.

Wkrótce potem przybyli do naszego domu enkawudziści, którymi dowodził generał Geоргий Сергеевич Жуков. Właśnie dopiero teraz, 20

grudnia 2011 roku, wysłałem do IPN pismo, w którym stwierdzam, że jestem w stu procentach przekonany, że to jest ten sam oficer, który był bezpośrednim łącznikiem między Stalinem a gen. Andersem, a następnie przedstawicielem Armii Czerwonej przy PKWN. Zostałem przez niego zatrzymany i otrzymałem polecenie zawiezienia grupy enkawudzistów do domu rodziny „Jelenia”, który akurat tego dnia ujawnił się w środowisku. Ponieważ wybrałem trasę z mostkiem, który uniemożliwił dojazd bezpośrednio do jego domostwa, zdołał uciec, a i mnie również ta sztuka się udała. Ponieważ gen. Żukowowi nie powiódł się zamiar zwerbowania ojca na stanowisko wiceministra w PKWN, zabrano go na Majdanek, skąd miał być deportowany do Rosji. Ale i jemu udało się zbiec, gdy go doprowadzono na badania lekarskie. Po mojej ucieczce, ukrywamy się razem z „Jeleniem” i moimi chłopcami i znowu wchodzimy w podziemie. W tym czasie jestem łącznikiem między por. „Jeleniem” a Z. Urbańskim, ps. „Iskra”, zastępcą komendanta rejonu Grzymały (w lipcu 1945 roku Urbański zastrzelił dwóch ubowców, sam został ranny i wkrótce zmarł). Biorę udział w kilku akcjach, w tym jednej nieudanej – odbicia schwytanego w styczniu 1945 r. przez żołnierzy i ubowców „Jelenia” wraz z jego bratem, S. Jankowskim – dezerterskim z wojska, którego po kilku dniach rozstrzelano.

Potem przejmuję kolejno i opiekuję się trzema innymi dezerterskimi: kpr. Guzowskim, chor. Jaszczurką i ppor. z Armii Berlinga, Stokrotką. Wiosną 1945 r. przekazuję furę broni i amunicji, ukrywanej w naszym bunkrze, komendzie rejonu. Przeszła ona potem na uzupełnienie uzbrojenia oddziału Henryka Lewczuka, ps. „Młot”.

Wiosną 1946 r., już jako uczeń gimnazjum pedagogicznego w Chełmie, spotykam się na prośbę „Młota” z nim i omawiamy sprawę zdobycia funduszy na umundurowanie jego oddziału. Po przekazaniu sprawy ojcu i uzgodnieniu z komendą rejonu WiN, fundusze te zorganizowali: ówczesny dyrektor huty szkła w Rudzie-Hucie Lizon, główny księgowy z Uhuska Szlichtyng, przewodniczący rady zakładowej Laskowski i mój ojciec A. Padrak, kasjer. Po ucieczce młota UB prowadziło dochodzenie w tej sprawie. Wymuszano zeznania biciem, były wyroki skazujące.

W okresie 1946-1948 uczę się w gimnazjum i liceum dla dorosłych pod dyr. profesora Kińczyka, gdzie uzyskuję maturę.

W latach 1948-49 odbywam służbę wojskową w Szkolnej Kompanii Oficerów Rezerwy w Krakowie. Kończę w Tarnowie. W tym okresie byłem trzykrotnie przesłuchiwany przez informację wojskową a potem dwukrotnie przez oficerów NKWD. Przesłuchiwania miały związek z zatwierdzonym przez MON moim stopniem plutonowego z okresu konspiracji.

W 1949 roku rozpoczynam studia filozoficzne na KUL na wydziale humanistycznym. Kończę je w 1953 r., ale na skutek zniesienia niektórych kierunków studiów nie mogłem uzyskać magisterium.

Od początku 1950 roku rozpoczynam z kolegami organizowanie tajnego koła samokształceniowego, a po wybuchu wojny koreańskiej latem 1950 r. jako dawni wiciowcy organizujemy struktury konspiracyjne tzw. Lubelskiej Delegatury Ruchu Ludowego, a później Związek Socjaldemokratyczny. Trzon kierowniczy tworzą czterej studenci: Aleksy Bornus, bratanek komendanta obwodu chełmskiego AK, mjr. L. Bornusa ps. „Barcicki”, absolwent filozofii, Franciszek Cieślak, absolwent historii, Zdzisław Latoszyński ps. „Bogucki”, absolwent wydziału prawa i ja, ps. „Tomasz”. Rozpoczęliśmy organizowanie siatki konspiracyjnej na innych uczelniach kraju. Jednocześnie wszyscy jako byli wiciowcy, po połączeniu organizacji młodzieżowych w Związek Młodzieży Polskiej staliśmy się członkami ZAMP-u, gdzie pełniliśmy różne funkcje w zarządzie uczelnianym, a Bornus w okręgowym.

Po śmierci w marcu 1953 roku Stalina, Bornusa i mnie wciągnięto na siłę w ramach „zaciągu stalinowskiego” do PZPR. Cieślak i Latoszyński byli w ZSL. Znaleźliśmy się zatem w sytuacji przymusowej. Tak ze względu na dobro naszej konspiracji, jak i bezpieczeństwo własne. Okazało się jednak, że безпеaka wpadła na trop naszej działalności już na przełomie lat 1952-53 i na początku 1954 roku nastąpiły kolejne aresztowania; Bornusa i Cieślaka w lutym, mnie 3 marca w Szczyrku, a Latoszyńskiego w kwietniu.

Po półrocznym, bardzo ciężkim śledztwie skazany zostałem na sześć lat więzienia. Po rewizji zmniejszono mi wymiar do trzech lat i zastosowano amnestię z 1952 roku. Ponieważ zapadłem na zdrowiu, przeniesiono mnie do szpitala więziennego w Krakowie na Montelupich i warunkowo zwolniono w połowie stycznia 1955 roku.

W okresie studiów ożeniłem się z córką żołnierza Armii Andersa, Władysławą Latko. Po wyjściu z więzienia zamieszkałem u rodziców żony w Łodzi, gdzie leczono mnie w szpitalu na Chojnach, a potem w sanatorium w Tuszyńku, do lipca 1955 r. Wszędzie odmawiano przyjęcia mnie do pracy. Przewodniczący organizacji młodzieżowej w Ministerstwie Sprawiedliwości oferował mi pracę przy brukowaniu ulic. Dyrektor departamentu Kucharzewski i kadrowiec Badiak wykazali się jednak cywilną odwagą i skierowali mnie do pracy w zakładzie poprawczym w Wojanowie k. Jeleniej Góry, pod warunkiem zatajenia w życiorysie faktu mojej przeszłości więziennej, na funkcji pracownika administracyjnego. Dyrektor zakładu Dewocki, poinformowany telefonicznie przez swoich zwierzchników w mojej sprawie, odważył się oferować mi stanowisko nauczyciela. Zamieszkałem w miejscowości Wojanów-Bobrów, na tzw. „Kamczatce” nad Bobrem, w lesie na stoku góry, dokąd 31 grudnia 1955 r. przyjechała żona, będąca w ciąży. 31 marca 1956 roku urodziła się nam córka Barbara. W październiku 1956 roku przenieśliśmy się do Kowar, gdzie przez rok szkolny pracowałem jako kierownik szkoły podstawowej dla dorosłych. Po okresie bezdomności, po przełomie październikowym, komisja robotnicza przydzieliła nam trzypokojowe mieszkanie po majorze WP. Ale już w 1957 roku, po odmownym załatwieniu mojej prośby o rehabilitację, pozbawiono mnie dotychczasowego stanowiska i przeniesiono, już jako zwykłego nauczyciela, do odległej od miejsca zamieszkania szkoły.

Dzięki pomocy życzliwych mi ludzi, udało mi się uzyskać pracę od września 1957 roku, na półetatcie w szkole w sanatorium „Świetlana Góra” w Karpaczu. W roku szkolnym 1958/59 uzyskałem pełen etat. Podjąłem jednocześnie studia eksternistyczne II stopnia z pedagogiki na Uniwersytecie Wrocławskim, wtedy im. B. Bieruta, które ukończyłem w 1961 r. z tytułem magistra pedagogiki z oceną końcową: „dostateczny”. Temat mojej pracy brzmiał: aklimatyzacja dziecka w wieku 7-12 lat w sanatorium przeciwgruźliczym.

Nie będę tu rozwodził się w opisywaniu mojego życia lat 1957-1964 – bardzo dramatycznego zwłaszcza w latach końcowych: 1963-64. Wyręczę mnie w tym załączone tu dokumenty. Potwierdzą one chyba, że chociaż – jak to mówiłem Pani uczennicom w nagrywanym wywiadzie – nie mogę się pochwalić tak efektownymi czynami na polu bitwy, jak moi koledzy z Szarych Szeregów,

ale w jakimś sensie byłem też żołnierzem wyklętym. Może bardziej ściśle będzie w moim przypadku określenie – żołnierzem przeklętym. Bo tu komunistom nie chodziło o wyklęcie z przestrzeni pamięci, ale o unicestwienie, już teraz, od razu. No i oczywiście także na zawsze, w tej drugiej przestrzeni. Ostrzegano z miarodajnych źródeł mnie, abym wystrzegał się ciężarówek jadących w dół z Bierutowic. Wspomniana wyżej ocena pracy magisterskiej na stopień dostateczny wymaga jednak tu wyjaśnienia. Właśnie ta moja praca zapoczątkowała owe dramatyczne moje przeżycia w okresie od 2 stycznia 1963 roku do 24 czerwca 1964 – równe półtora roku.

Temat jej został zasugerowany przez opiekuna naszej grupy – dra Szulca. Załączam tu ksero karty pocztowej do mnie, w której pisze: „praca robi całkiem korzystne wrażenie”. Promotorem mojej pracy został profesor S. Tync. Po zapoznaniu się z pierwszą jej wersją, ocenił ją pozytywnie. Gdy mu zobrazowałem sytuację dziecka w sanatorium, które doznaje wielorakiej krzywdy ze strony części personelu, zwłaszcza tej kierowniczej, zapytał: „a co pan uczynił, aby zapobiec tej krzywdzie?”. Zapamiętałem i wziąłem sobie do serca te słowa. Niestety, komuniści wkrótce odebrali profesorowi katedrę i wysłali go na emeryturę, aby im nie przeszkadzał. Zastąpił go docent Kaczmarek, który narzucił mi znaczne zmiany w tekście pracy. Odważyłem się zapytać go, czy on zna choć jedną z publikacji, na których się opierałem, m.in. bardzo wówczas cenną pracę Janiny Doroszewskiej pt. „Terapia wychowawcza”. Okazało się, że ta problematyka jest mu zupełnie obca. Już wówczas, podczas pożegnania na korytarzu oświadczyłem, że chyba nie mogę się po nim spodziewać niczego dobrego w trakcie jej obrony. I rzeczywiście, uzyskałem końcową ocenę po obronie tej pracy – „dostateczny”.

Chcę tu jeszcze w opisie mojego dramatycznego okresu życia dołączyć nazwisko pani wicedyrektor Instytutu Pedagogiki Specjalnej, J. Doroszewskiej – najwyższego autorytetu naukowego w tej dziedzinie, która wykazała niepoślednią odwagę cywilną, solidaryzując się z moimi wysiłkami w obronie chorych dzieci. Odpis pisma w tej sprawie, które też załączam, zawierający także bardzo pochlebną opinię o mojej pracy magisterskiej i przygotowaniu zawodowym, wysłała do kuratorium wrocławskiego 7 lutego 1964 r.

To wsparcie, jakiego udzieliła nieznanemu jej człowiekowi, nabiera szczególnego kolorytu na tle zachowania się, akurat w tym samym czasie, niektórych

sygnatariuszy słynnego Listu 34 – wybitnych przedstawicieli nauki i kultury polskiej, którzy po nieprzespanej nocy wycofywali swoje podpisy z tego listu, słysząc w radiu i telewizji gromy, jakie wywołali, prosząc o zwiększenie przydziału papieru i zelżenie cenzury.

Mam nadzieję, że nie będzie mi poczytane za nieskromność, że podzielę się takim oto faktem. W dniu 21 czerwca 1952 r. na egzaminie u najwybitniejszego znawcy filozofii tomistycznej w Polsce, prof. S. Świerzawskiego, protektora naszego papieża, zdałem dwa egzaminy z historii filozofii starożytnej i średniowiecznej oraz nowożytnej, na raz. Dwa wielkie tomy „Historii filozofii” prof. Tatarkiewicza. Fakt taki, jak oświadczył mi profesor, zdarzył mu się po raz pierwszy w jego karierze profesorskiej. Z obu egzaminów profesor bez żadnej taryfy ulgowej postawił mi oceny „bardzo dobry” – załączam zaświadczenie KUL.

Trudno orzec, czy można przeprowadzić jakąś paralelę stosunków do mnie **jako absolwenta KUL-u**, między docentem Kaczmarkiem a dziennikarzami z „Faktów i myśli”, którzy w swojej publikacji także nawiązywali do mojej pracy magisterskiej – ale po usłyszeniu opinii mojego przyjaciela, profesora Maciukiewicza, znającego docenta Kaczmarka z lat szkolnych i początku jego kariery naukowej, skłonny jestem tak sądzić.

Żeby ubarwić humorystycznym akcentem sprawę mojej pracy magisterskiej, załączam także ksero artykułu A. Jesionka i H. Wandowskiego pt. „Dziwy pod Świetlaną Górą”, zainspirowanego przez moich karpackich przeciwników, a także ksero mojej odpowiedzi nań, wysłanej w czasie wakacji w Rudzie (pow. chełmski), pisany ręką żony. Będzie tam mowa o wygrzebaniu z szuflady mojej pracy magisterskiej. Uzupełnieniem tej części życiorysu jest załączone tu ksero pisma z dnia 19 lutego 2011 r. do IPN w Lublinie z załącznikiem doń nr 3 pt. „Moje relacje ze Stalinem i jego pogrobowcami” i zał. do niego nr 2, pismo do Komisji Kontroli Partyjnej z 18 stycznia 1964 r., łącznie z pismem z 20 stycznia 1964 r. (przewodnie).

Korzystając z protekcji wpływowego kolegi z lat szkolnych, przeniostem się do wsi podlaskiej w Radoryżu, gdzie najpierw zatrudniono moją żonę w księgowości technikum rolniczego, a następnie mnie. Powierzono mi zorganizowanie korespondencyjnego technikum rolniczego, którym

kierowałem do 1973 roku. Tuż po rewolcie na wybrzeżu, w grudniu 1970 r., bezpieka łukowska przeprowadziła ze mną – jak to zrozumiałem – rozmowę ostrzegawczą w sprawie korespondencji z moimi przyjaciółmi: prokuratorem z Gdańska, Włodzimierzem Powąskim, członkiem naszej konspiracji z lat pięćdziesiątych, który informował mnie o wypuszczaniu przez niego zatrzymanych przez milicję stoczniowców i A. Bornusem z Puław. Od tego momentu jestem już pod stałym, nieukrywanym już przez nią nadzorem. Tak zresztą jak i moja małżonka i córka, szczególnie w okresie, gdy przenieśliśmy się do Puław – żona z córką w 1972 r., ja w 1973. Całej naszej trójce utrudniano zatrudnienie w tym mieście, a córce studia. W końcu, dzięki przyjacielowi (też z konspiracji) K. Stopie, który pracował w kuratorium lubelskim, uzyskuję pracę wychowawcy w ośrodku szkolno-wychowawczym w Puławach. W związku z pogarszającym się stanem zdrowia, uzyskuję dwuletni urlop zdrowotny i po przeprowadzce do Chełma w 1977 r. jako inwalida II grupy uzyskuję rentę. Starania o uzyskanie wojennej renty inwalidzkiej, na skutek wyraźnych działań bezpieki (zagubiono moją teczkę w ZUS-ie), spełzły na niczym. Dopiero w 1992 roku, po rozpadzie Związku Radzieckiego, przyznano mi tę rentę.

Od pierwszych dni pobytu w Chełmie bezpieka roztoczyła szczególny nadzór nad całą naszą rodziną. Nawet zamiana mieszkań z Puław do Chełma – jak się potem zorientowałem – była zaaranżowana przez nią. Mimo tego stałego nadzoru, utrzymywałem stałe kontakty, zarówno w okresie przed festiwalem Solidarności lat 1980-81, jak i potem, w okresie stanu wojennego, ale głównie w środowisku puławskim. Świadczą o tym liczne wydawnictwa podziemne, jakie przekazałem IPN w Lublinie, Bibliotece Chełmskiej i Muzeum Chełmskiemu. W 1989 roku oferuję swoje usługi przewodniczącemu Solidarności chełmskiej, p. Mikusowi. Udzielam się w kolejnych akcjach wyborczych, publikuję w „Słowie Chełma” artykuły o kombatantach z okresu walki z oboma totalitaryzmami i wywiady z żyjącymi wówczas, np. komendantem obwodu chełmskiego AK, pułk. L. Bornusem i dowódcą OP71, gen. Z. Szumowskim. Po powrocie H. Lewczuka ps. „Młot” do kraju, inicjujemy i tworzymy ROP. Na początku 1990 r. organizuję Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego w Chełmie.